

ją i drażniły. I czego one tak się cieszą? radują? śmieją? Jedna drobna przejażdżka, a tyle gwaru, takie stroje, taka chęć podobania się; jakież to dziecinne, jakie marne, jakie bezmyślne!

Spojrzała na męża, który rozbawiony, z uśmiechem na rozpromienionej twarzy, pomagał paniom w ubieraniu się. Te liczne głosy, śmiechy, szelesty spodnic, rzucane spojrzenia i słówka, przypominały mu kawalerskie czasy, karnawałowe zabawy i cały oddał się na usługi pań, zapominając o żonie.

Poczuła żal i gorycz do niego, do tego rozbawionego otoczenia, które swą ruchliwością zaczęło ją męczyć. Niepostrzeżenie wysunęła się i chcąc uniknąć spotkania, zaczęła szybko iść po schodach. Lecz już na pierwszym piętrze poczuła zmęczenie, oddychała z trudnością, czuła nierówne bicie serca, zdawało się jej, że nogi odmówią jej posłuszeństwa, że upadnie... z wysiłkiem dowlokła się do kanapki i odpoczywała.

Zwolna i z trudem niemalym doszła wreszcie do swego pokoju i zmęczona padła na wygodny fotel.

Przez tę, jak się jej zdawało, długą i uciążliwą drogę po schodach, myślała tylko o sobie i o swym zmęczeniu, i tylko jako ton poboczny dźwięczało w niej rozgoryczenie do męża, że zaniedbał ją, puścił samą, a teraz bawi się wesoło, zalecając się do innych niewiast.

A niech się zaleca, kocha, używa, ona mu napewno w niczem nie będzie przeszkadzała, byle ją zostawił w spokoju, nie narzucał jej swego towarzystwa, nie męczył swymi wymaganiami i pretensjami. I jaki on bez ambicji, bez delikatności, bez wychowania; wie przecież dobrze, że ona chce zostać sama, to potrzebne do kuracji, a on uparł się zostać przy niej! Dziś miał wyjechać, już się zdecydował, ale wystarczyła jedna uprzejmość doktora, a on pochwycił tę sposobność i zostaje. Jeszcze jedną dobę będzie z nią w zakładzie, a potem znów opróżni się jakiś pokój i znów zostanie. To może się ciągnąć miesiącami i ona nigdy nie będzie sama. Zawsze on będzie jej uprzytomniał to nieszczęśliwe jej małżeństwo, będzie się wtrącał do jej życia, zajęć, znajomości; będzie ogarniał ją oczyma jako swoją własność, a w twarzy jego będzie czytała wstrętne pożądanie.

Jakaż ona nieszczęśliwa, przykuta do człowieka, którego nie cierpi, nienawidzi, którym pogardza, gdyż to on złamał jej życie, znieprawiał, odarł z uroku, z poezji, ze złudzeń młodości. To on napoił jej serce goryczą i niechęcią do ludzi. Dziś nikt jej nie kocha, nie lubi, stoi osamotniona, straciła wiarę w ludzką przyjaźń i miłość.

W myśli przechodziła kolejno swe znajome, sąsiadki, przyjaciółki i w każdej dostrzegła obłudę i ukrywano niechęć do niej.

Jedna tylko ciotka, ale i ona, niedołężna staruszka, zawsze pełna obaw przed jej mężem i tylko o tyle objawia swe przywiązanie do niej, o ile nie naraża się jej mężowi.

Zostaje Ninka! Ale ona posiada jego usposobienie, upór, brak serca, zmysłowość i łakomstwo. Póki jest dzieckiem, to jeszcze jako tako daje się powodować, ale gdy wyrośnie i rozwiną się w niej wady ojca, napewno znienawidzi matkę, tak jak jej ojciec.

I jak ją los prześladowe, jaka ona nieszczęśliwa, lzy napłynęły jej do oczu... Inne kobiety są szczęśliwe, wesołe, uradowane... Chociażby te w tutejszym zakładzie, jakie swobodne, uśmiechnięte, bez troski i niepokoju. Wszystko je bawi, cieszy, są pełne radości życia; oczy ich promieniają, usta się śmieją, zajmują je zabawy i stroje. Jak one ucieszyły się przyjazdem jej męża, jak starają się przypodobać mu, jak z nim rozmawiają, żartują, jakie spojrzenia rzucają, ale niech tam. Nie znają go i sądzą z pozorów, gdyby go tak poznały, jak ona, gdyby wiedziały, jaki on brutalny, jaki smakosz, jaki banalny i egoista, byłyby inne względem niego.

W nim przecież niema iskry poezji, współ-

czucia, zapału, ukochania jakiejś idei, pragnień społecznych lub etycznych... nic, tylko smaczne jedzenie i zadowolenie swych zmysłów i instynktów. Miłuje wszystko to, czem ona się brzydzi, do czego wstręt czuje, i właśnie taki człowiek jest jej mężem.

Tak jednak dłużej trwać nie może, ona udusi się w tej niskiej i brudnej atmosferze. Zerwie z nim, zabierze Ninkę i będzie żyła zdale od niego i tych brudów.

Spojrzała na łóżko jego i szybkim ruchem zbliżyła się do dzwonka, nacisnęła.

Wszedł lokaj, wygolony, z chytrei oczami, z uśmiechem pokornej służbistości, mógł mieć tak dobrze lat trzydzieści, jak pięćdziesiąt i spytał cichym, służbiwym głosem:

- Jaśnie pani każe?
- Pan doktor mówił, że jest tu wolny pokój.
- Tak jest, właśnie posprzątałem.
- Proszę przenieść to łóżko do tamtego pokoju.
- Tam jest już łóżko gotowe.



A gdy przechodził szczupły młody szafyn z długimi włosami.

— Więc to trzeba zaraz wynieść, a ten kuferek, — wskazała na podręczną walizkę męża, — i rzeczy pana ze szafy przenieść do nowego numeru.

— Słucham jaśnie pani, tylko... że...  
— Co takiego?  
— Tamten pokój jest już zamówiony, a na jedną noc...

— To nie wasza rzecz, — zawołała popędliwie, — przenieść zaraz, kiedy każe.

— W tej chwili, jaśnie pani.

Ze zręcznością obytego lokaja szybko i cicho poprzemienił wskazane rzeczy, a gdy skończył, spytał:

— Czy jaśnie pani obejrzy pokój?

Z nawyku gospodyni domu poszła, rzuciła okiem na pokój, leżący po przeciwnej stronie kurytarza i wróciła do siebie. Otworzyła okno i z uczuciem zadowolenia i ulgi rozejrzała się po pokoju.

— Nareszcie jestem u siebie, — odetchnęła.

Stosownie do rady doktora wyszła na przechadzkę, a nie chcąc spotkać się z ludźmi wybrała ledwie przetartą drożynę w stronę łagodnych stoków Gubałówki, pokrytych lasami i gajami.

Była sama, przed nią i za nią nikogo z ludzi, a poniżej nieliczne domy i chaty góralskie. Chłodne, orzeźwiające powietrze, cisza wokoło, ułagodziły jej rozdrażnienie i doznała pewnej przyjemności idąc w górę łagodną pochyłością. Doszła do małego lasu jodłowego, gdy nagle z po za drzew wysunął się na nartach, w sportowym ubraniu, zgrabny, średniego wzrostu brunet, zobaczywszy ją, ukłonił się przyjacielsko wołając wesoło:

— Czołem! — i jak nagle się pokazał, tak szybko i zniknął na posuwistych nartach.

Ona nie miała nawet czasu odklonić się, chwilę śledziła bieg jego i zdawało się jej, że gdzieś już widziała tego człowieka. To spotkanie zatarta się szybko, gdy spojrzała na szczyty Tatr.

Rysowały się wyraźnie na tle nieba, całe w bieli, poszarpane, opasane poniżej ciemnymi lasami, które tem silniej podkreślały ich wysokość i strome zbocza.

W promieniach zachodzącego słońca błyszczały jakaś niezwykłą, żarzącą białością, odbijającą jaskrawo od ciemnych przepaści i granatowych pierścieni lasów. Wznosiły się one aż pod sklepienie błękitu, białe, czyste, nieprzystępne, jakieś groźne i ponure.

Wobec nich ta dolina zakopiańska ze swymi domkami, drogami, ogrodami, laskami i szemrzącą, jasną wstęgą Białego Dunajca wydawała się czemś nieskończenie nikłym, marnym, rodzajem mrowiska przy olbrzymim dębnie.

Nagle zdało się pani Wandzie, że wirchy i szczyty odrywają się od ziemi, płyną w górę, coraz wyżej, i wyżej, gdyż podstawy ich poczęła otulać mgła, nadpływająca z borów i przepaści, a na dolinach kładły się cienie nocy.

Jeszcze raz zaróżowiły się śnieżne wirchy w zachodnich promieniach słońca; zajaśniały cudownym blaskiem różowo-seledynowym i zwolna zaczęły tonać w mgłach. Na razie przeświecały przez nie, widne były ostre kontury, lecz po chwili zachwiały się linie, załamały się i rozplynęły.

Ten widok podziałał kojąco na panią Wandę, spłynął na nią urok wspaniałej, potężnej natury górskiej, spokojnej w swym majestacie piękna i grozy.

Wracała do zakładu swobodniejsza, zaróżowiona zmęczeniem, i co chwila podnosiła oczy na zamglone wirchy, w nadziei, że ujrzy znów coś wspaniałego i pięknego.

Gdy skręciła na drogę główną, dopędziły ją sanie z panią Łacką i mężem, który zoczywszy ją, zatrzymał konie i wyskoczył ze sani, a za nim pani Łacka z Ryty.

— Jaka szkoda, że kuzynka nie była z nami, bawiliśmy się doskonale, — mówiła Łacka z ożywieniem — i załatwiłyśmy jeden sprawunek dla kuzynki.

— Dla mnie?

— Pan Jerzycki kupił dla kuzynki worek futrzany, potrzebny na leżakach, a my pomagaliśmy.

— Dziękuję... a gdzie byliście państwo?

— Pod Jaszczurówką, a pan Jerzycki zaimprovizował podwieczorek doskonały.

— Do doskonałości było bardzo daleko. Wiesz Wandziu, kawa licha, herbata marniejsza, a pieczywo stare, tylko jedno masło było dość dobre.

— Pan zbyt wymagający, — zaśmiała się Rytka, — nam wszystkim smakowała i kawa i herbata. Musi pan być kapryśnym mężem.

— Wcale nie, — zaprzeczył z żywością, — jadamy najprostsze potrawy, byle dobrze zrobione... no, ale kawa z cykoryą, herbata z ziołkami nie mogą mi smakować.

— Wynagrodził pan sobie doznany zawód w cukierni, — odezwiała się Rytka.

(Ciąg dalszy nastąpi).